

# OBYWATELE NIE PIĘTRZMY

Spotykamy się z tym zjawiskiem i na gruncie prywatnym, i zawodowym, i w wiadomościach, czy odwrotnie. Zresztą mniejsza o to. Rzecz w tym, że zjawisko istnieje i daje się nam we znaki.

Miejscówka na jutrzejszy ekspres do Warszawy? Wykluczone!

Bilety na dzisiaj wieczór do operetki? Panie, coś pan!

To może — na atrakcyjny film? Mowy nie ma!

Zegarek naprawić od ręki? Coś po dobrego, to było dawno i nieprawda!

Bestseller wydawniczy w księgarni? Skąd!

Kilogram szynki? Marzenie świętej głowy!

Zalutwić sprawę w okienku urzędu w jednym dniu? Utopia!

Przy układaniu planów — czy to w fabryce X, czy w referacie Y byle jakiego urzędu: nie da rady, nie sposób, nie w tym czasie, nie w tym osobowym składzie, nie za te pieniądze.

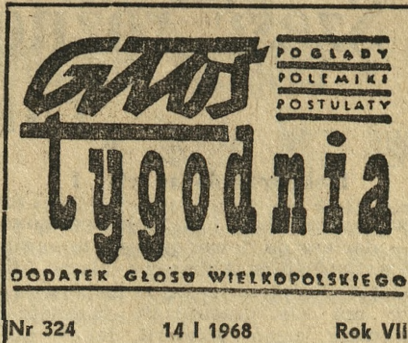
Przy opracowywaniu planu inwestycji zakładu U bądź Z — okazują się absolutnie nieodczuwane, jeśli nie całe nowe hale, to przynajmniej nowe od podstaw wyposażenie, urządzenia itp.

Ba, nawet nauczyciele na wywiadówkach zaczynają od uświadamiania rodziców, że nie ma siły, by klasa ABC uzyskała zadowalające postępy, jeśli nie zostaną spełnione przez młodzież takie to a takie warunki.

Nie będę już przytaczał niezliczonych rozmówek o charakterze prywatnym, naszpikowanych pytaniami i odpowiedziami, w rodzaju: Uszczelka do „Syreny”? Szukanie szpilki w stogu siana. Lek „Vitalal”? Trzeba mieć kupę szczęścia i mocne nogi. Naprawa uszkodzonego telefonu? Pisz na Berdyczów, miałem zepsuty przez tydzień i nikt, i nic...

Słowem — czego się nie tknąć, jakikolwiek temat poruszyć, gdziekolwiek by trafić — wyłaniają się trudności obiektywne i subiektywne, mamy do czynienia z oporami — mniej lub bardziej uzasadnionymi, poczynają się przed nami piętrzyć przeszkody nie do pokonania. Ściśle: poczynają przed nami PIĘTRZYĆ (tu uderzymy się w pierś: nieraz piętrzymy i my...).

Z pozoru niemal nic nie jest możliwe! Ogólna niemożność. dno, kłapa, ciemna mogiła. Ale następnego dnia Kowalski i Nowak jednak jadą „Lechem”, bo „jakoś” miejscówki uzyskali; ktoś tam, kto się przy tym upierał, mimo wszystko do operetki wieczorem trafia; osiągalne okazują się też bilety na „szal” ekranu; i szacowny czasomierz, całkiem wyjątkowo, naprawia nam na po-



Nr 324 14 I 1968 Rok VIII

czekaniu życzliwy pan z „Jubilerą”, a sympatyczny księgarz jakoś przypomniał sobie, iż ma jeszcze jeden, „ostatni” egzemplarz, poszukiwanej przez nas nowości... W urzędzie — zdarza się i to — uprządkuje nie od ręki, lecz następnego dnia każą nam przyjść dla załatwienia sprawy.

Więc — o co tu chodzi? Jakież osobliwe licytowanie się, kamuflaż, wzajemne „badanie”, swoista moda, coś w rodzaju potykania się stron, tyle, że nie na kopie, lecz na mniej lub bardziej wyimaginowane trudności, a wszystko dla uzyskania możliwie najdogodniejszej pozycji przetargowej?

Coś w tym sensie. Taktyka piętrzenia przeszkód, niejako na wyrost — a następnie, w miarę potrzeby, usuwania ich w części lub w całości. Okazuje się przecież w praktyce, że liczne zakłady przemysłowe, mimo pozbawienia

ich „absolutnie niezbędnych” inwestycji — rozwijają produkcję, a fabryka X rzekomo nierealne plany — wykonuje z nadwyżką. Nawet klasa ABC jawi się, po udzieleniu przez wychowawcę szerszych wyjaśnień, nie jako zakata szkoła, lecz zupełnie normalny, przeciętny zespół uczniów.

Bywa, że majster Pituliński piętrzy trudności (Panie, tego kranu nie naprawię szybciej, niż w końcu tygodnia...) w celach zupełnie jednoznacznych: jak się da, to się zrobi. Ale błędem byłoby sądzić, że wszystkim, którzy PIĘTRZA, przyswiecają materialne cele. Wielu uczyniło po prostu — z właszą na zakładowej i społecznej niwie — PIĘTRZENIE swą stałą taktyką. Nie brak też takich, którzy — najczęściej na gruncie towarzyskim — PIĘTRZA dla efekciarstwa, dla wywypuklenia zastęgu („nie ma holenderskich kłopotów, ale ja je Madzi zorganizowałem”), dla osobliwego fasonu. Ten idiotyczny fason każę w Polsce wielu ludziom zamiast anglosaskiego „trzymania uśmiechu” (keep smiling) eksponować oblicza skwaszone i stękanie na temat trudności, najczęściej wydumanych lub — rozdmuchanych.

Może u podstaw PIĘTRZENIA leży zwykła, ludzka skłonność do przesady, do wyolbrzymiania? Może. Tak czy inaczej rzucanie sobie pod nogi kłódki (pochodna od wyrazu kłoda), owo PIĘTRZENIE — paskudnie utrudnia nam codzienne wzajemne kontakty i prywatne, i za wodowe, komplikuje sprawy, czasem drobne, a czasem wielkie. Zatem — możebyśmy ogłosili coś w rodzaju rozejmu? Totalne usunięcie bariera taktycznych trudności? Ogólna rezygnacja z mody na PIĘTRZENIE?

Obywatele, przestańmy PIĘTRZYĆ! Słowo daję, życie będzie wtedy o wiele znośniejsze...

Zbigniew Szumowski

23 lata temu, o świcie 14 stycznia 1945 roku (też była niedziela), przeszły do gigantycznego natarcia z nadwiślańskich przyczółków w rejonie Magnuszewa i Puław, wojska 1 Frontu Białoruskiego. Chwile rozpoczęcia tych działań, przełomowych dla dziejów Wielkopolski, przynoszących wyzwolenie ziemiom Polski po Odrę, przedstawia fragment książki Zbigniewa Szumowskiego przygotowywanej dla Wydawnictwa Poznańskiego.

Mgła jeszcze bardziej zgęstniała. Co gorsza, nie zanosilo się, by miała opaść...

Nie liczono na dobre warunki atmosferyczne. Meteorolodzy ostrzegali, że przedwiozorne przetarcie nieba jest tylko lokalne. Ale takiego utrudnienia działań nie spodziewano się. Mleczny tuman nie tylko wykluczał jakąkolwiek obserwację pola walki. Uniemożliwiał pełne wykorzystanie przewagi artylerii. Zmuszał dowództwo radzieckie do ostrożnego jej stosowania, zaś nacierające oddziały do działania na ślepo podczas pierwszych i tak najtrudniejszych, najbardziej opłacanych krwią, godzin operacji.

Mógł nawet wywrzeć niekorzystny wpływ na samopoczucie żołnierzy, wkrótce mających zdecydować o wszystkim ogromnym wysiłkiem fizycznym i moralnym.

Dowodzą 8 armii gwardii generała Czujkowa dręczy niepokój. Czy w utrudnionych przekłętą mgłą warunkach, uda się już pierwszego dnia nadać natarciu takie tempo, by nie zdołał je zdławić nieprzyjaciel? By stosownie do ogromu trudu żołnierskiego, ten sukces miał już decydujące znaczenie dla wywalczenia dalszych, o charakterze operacyjnym?

Wysłuchawszy meldunków dowódców korpusów o pełnej gotowości wojsk do natarcia, o dobrym nastroju żołnierzy Czujkow porozumiewa się jeszcze telefonicznie z dowódcami pozostałych armii ogólnowojskowych. Uzgadniają wspólne stanowisko: bez względu na pogodę, będą prowadzić działania ściśle według dotychczasowych planów.

Ostatni telefon do głównodowodzącego Frontu marszałka Żukowa... Jest parę minut po ósmej.

Godzina 8.25. Wciąż panuje ciśsza radiowa.

Na punkt obserwacyjny przygotowany na wzgórzu 126,3 przybywa marszałek Żukow. Skupiony, poważny...

Natychmiast dowodzący artylerią Frontu generał Woronow przekazuje przez telefon komendę: „Załadować”.

Przy dwunastu tysiącach dział, uwalnianych od maskujących zasłon, obsługi wykonują wprawny ruchami, niemal mechanicznie ów rozkaz. Na stanowisku głównodowodzącego Frontu tej krzątaniny nie widać. Tu też sekundy przeklećce wolno sumują się w każdą z brakujących jeszcze do oznaczonego terminu minut.

Godzina 8.29. Setki kilometrów przewodów telefonicznych przekazuje kolejną komendę Woronowa: „Naciągnąć sznury”.

W pobliżu wzgórza 126,3 sześciu żołnierzy szybko ładuje rakietnice. Wokół jest tak cicho, że z pierwszej linii dobiega muzyka transmitowana z megafonów zwróconych w stronę Niemców.

Sześć różnokolorowych rakiet wystrzelonych, punktualnie o 8.30 czasu moskiewskiego nad wzgórzem 126,3 miało stanowić wizualny sygnał rozpoczęcia, tyle miesięcy przygotowywanej operacji. Blask ich

przytłumiła mgła. Tylko zanim jeszcze rozszarpały się, komendę Woronowa „Ognia”, powtórzono ponad 12 tysięcy głosów. 8 tysięcy na przyczółku magnuszewskim i 4 tysiące na odległym o kilkadziesiąt kilometrów — puławskim.

Natychmiast opuściło oszronione lufy 12 tysięcy pocisków. Pierwsza salwowa doza z 53 tysięcy ton stali ładowanej trotylem, zarezerwowanych na samo tylko wstępne przygotowanie artyleryjskie natarcia wojsk 1 Frontu Białoruskiego. I zanim dotarły do osłoniętych mgłą celów, już artylerzyści ładowali w dymiące zamki następne.

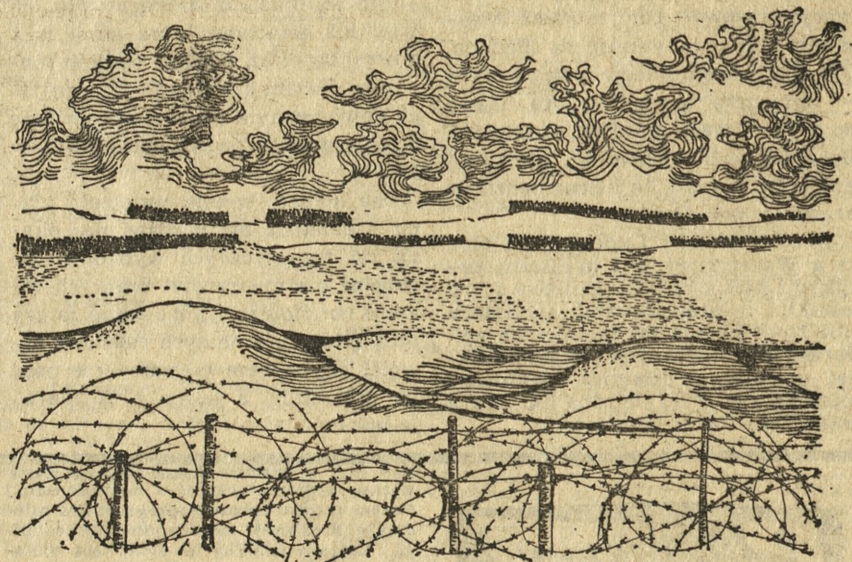
Znowu, jak przed dwoma dniami na rubieży przyczółka sandomierskiego i huk salw i wycie pocisków przemierzających przestwór nad pozycjami własnej piechoty oraz wąskim skrawkiem ziemi niczyjej i wreszcie wybuchy drące swą niszc-

## Sześć różnokolorowych rakiet

czycielską mocą dawno ustalone, na mierzone cele po niemieckiej stronie frontu, wszystko to stapia się w upiorny hałas. Zagluszający nawet ryk pospiesznie zapalanych silników czołgów i dział samobieżnych, z tych brygad co ławą 30 wozów na jeden kilometr frontu przełamania, mają wspierać natarcie przednich oddziałów piechoty.

Wszechobecna mgła zaraz też rozjaśnia się na zachodzie niezdrowym rumieńcem bitewnej jutrzeńki. Mokre, pulsujące łomotem powietrze, coraz bardziej nasycia słodkawy dym.

Na pozycjach radzieckich, rezonujących organa ziemi zwanej jeszcze „niemiecką”, dziesiątki tysięcy ludzi gotują się do szturmowego skoku poza wielomiesieczny rubikon własnej pierwszej transzei. Starają się wypatrzyć to, co dokonuje się poza grodzącym ich od przeciwnika, opalizującym, zadymiającym się ekranem pary wodnej. Nawet nie zauważyli, że poza ich plecami, na wschodzie, zaczęła już walczyć z ja skrawością barw ognia salw artyleryjskich, szarżyna styczniowego świtu.



Rys. Ewa Pruska

Kiedy wszakże po 25 minutach wał detonacji zaczyna się od nich oddalać, wyczuwają to od razu.

Kapitan gwardii Bielajew już wydzwignął się z okopu. Prostując się, napinając rękę przedłużoną pistoletem, krzyczy: „Do ataku!” Nikt go nie słyszy. Ale żołnierzom jego batalionu to wezwanie jest już niepotrzebne.

Tyraleria biegnących gwardzistów — nawet nie oglądających się na mające ich wspierać, dopiero gotujące się do przejścia pustoszejącej transzei czołgi — szybko przebywa kilkadziesiąt metrów ziemi niczyjej. Zanim też zdoła ją przedrzeć chaotyczny ogień nie wytrzebionego, choć wciąż jeszcze oszołomionego przeciwnika, dociera do jego pierwszej transzei.

Tu łańcuch biegnących rozpada się w kilkadziesiąt ogniw żołnierskich. Indywidualnie reagujących na napotykaną opór — ogniem pepesz, pchnięciem bagnetem lub rzutem odepniętych granatów. Lecz po kilku za ledwie minutach, już poza szczeliną wrażeń transzei, zerozjonowaną nawałą artyleryjską, wzbogaconą lejami i posianą szczątkami ludzi, ponownie zespalających się w szyk nacierającego batalionu.

Przed tą ławą gwardzistów, pracujących z zapalczywą pasją, podbudowaną zbawczym nawykiem wykorzystywania pierwszego rozpadu i chwil szczególnego bezwładu wroga, próbują umknąć postacie w odmiennych, białoszarych kombinezonach. To reszta Niemców, salwujących się ucieczką. Tylko nielicznym się to udaje. Zaledwie najbardziej chybcy osiagają przedpole drugiego, zbawczego w ich mniemaniu okopu, wskroś ich gromad zaczyna furiacki ogień ze wszystkich ocalałych tam kaemów. Nawet jeśli przeznaczony jedynie dla prześladowców, godzący we wszystkich biegnących przez zamglone przedpole. Rozstrzelujący zbiegów. Dziesiątkujący gwardzistów. Zmuszający ich do przypadnięcia...

Dwom kompaniom — 8 i 9 — udało się na tyle przybliżyć do pozycji niemieckich, by stworzyć warunki do ponownego szturmowania ku tej transzei. Natomiast lewoskrzydłowa 7 kompania wciąż tracąc ludzi, nie mogła ruszyć z miejsca.

Bielajew — kilka razy zmuszony do przeczekania w leju aż minie kolejna fala zaciekłego ognia dobrze

Dokończenie na str. 2



Jerzy Buszkiewicz  
Fot. — K. Przychodźki

Prezes Oddziału Poznańskiego Stowarzyszenia Architektów Polskich mgr inż. arch. Jerzy Buszkiewicz pracuje jako kierownik zespołu w poznańskim „Inwestprojekcie”. Zajmuje się on nie tylko architekturą, ale i urbanistyką. O jego zawodowych kwalifikacjach i skali zainteresowań twórczych świadczy fakt, że zdobył nagrody w 22 konkursach o bardzo różnorodnej tematyce — od projektu na pomnik ofiar faszyzmu w Chetmie (pow. Koło) poczynając, a na zespole hotelowo-mieszkalniowym w hiszpańskim mieście San Sebastian kończąc. Zapytany, czy te nagrody zdobył sam, czy też w zespole — odpowiada:

— Nie uznaję przygotowywania tematu konkursowego w pojedynkę. Architektura nie jest dziedziną, w której można dojść do dobrych wyników bez partnera lub partnerów. Przygotowywanie pracy w zespole przypomina pojedynek pomiędzy poszczególnymi członkami zespołu.

— Czy to znaczy, że Pana partner może być w trakcie opracowywania projektu również kimś w rodzaju przeciwnika?

— Oczywiście. Polemika jest niezbędna, niekiedy wręcz się kłócimy i to nawet ostro. W końcu jednak czyjeś zdanie musi przeważać, ktoś

okazuje się silniejszą indywidualnością.

— A jeżeli obaj są jednakowo silnymi indywidualnościami?

— To po raz drugi już z sobą nie współpracują.

— A takie sławy jak Le Corbusier czy Oscar Niemeyer? Przecież to wybitne indywidualności. Czy tacy też pracują sami?

— Nie.

— Wobec tego pracują „na nich” inni?

— Właśnie! Przekonałem się o tym na własnej skórze, kiedy pracowałem w pracowni głównego architekta Londynu, Huberta Benneta. Na jego nazwisko anonimowo pracuje armia, licząca 1500 architektów i urbanistów. Wykonują dokumentację, których on nigdy nie widzi, ba, podpisują je jego faksymile.

— To jest w pewnym sensie urząd...

— Tu nie o urząd chodzi. Podpis głównego architekta oznacza, że on jest jakby odpowiedzialny za pracę, która się narodziła w jego pracowni.

— Więc żaden z tych 1500 architektów nie ma szans, żeby się wybił?

— Tylko jedną jedyną: wygrać wielki międzynarodowy konkurs i uzyskać zamówienie na jego realizację.

— Ma Pan zapewne swoich ulubionych architektów. Którego z nich ceni Pan najbardziej?

— Japończyk Kenzo Tanke. On właściwie pchnął architekturę japońską na nowe tory. W ogóle dzisiejsza architektura japońska jest jedną z „najprawdziwszych”, najbardziej autentycznych. Wystarczy rzu-

cić na nią okiem i już się wie: to jest właśnie Japonia. A przecież nie ma nic wspólnego z charakterystycznymi dachami starych świątyń i pałaców. Przeciwnie, jest ona bardzo śmiała i bardzo nowoczesna. Trawstując postulat socrealizmu, można powiedzieć, że współczesna architektura japońska jest nowoczesna w treści i narodowa w formie.

— Więc niejako nawiązuje do japońskich tradycji.

— Nawiązuje, to mało! Ona po prostu tkwi w japońszczyźnie. Do tego stopnia, że nawet Corbusier był pod jej urokiem i wiele zapożyczył od Japończyków. Wierzyć się nie

chce, że jeszcze 30 lat temu nie mieli oni własnej nowoczesnej architektury.

— Nie przesadzajmy, były tradycje; ba — pomniki ogólnoludzkiej kultury: pałace, budownictwo sakralne...

— Myślę o tradycjach budownictwa świeckiego. Przed 30 laty nowe dzielnice japońskich miast niewiele różniły się od Manhattanu. W ciągu 30 lat wybuchło pokolenie architektów, którym nie zabrakło odwagi, by decydować się na własną japońską drogę do nowoczesności w architekturze.

— A jak te sprawy wyglądają u nas?

— U nas najgorzej jest z odwagą.

— Wśród architektów?

— Raczej nie. Przecież od co najmniej 5 lat nie ma międzynarodowego konkursu, w którym nie byłoby laureatów z Polski. Pomysłów więc nam nie brak. Ale żeby zrealizować dobry oryginalny projekt trzeba także odwagi tego, co projektuje i tego co projekt akceptuje.

— Chce Pan przez to powiedzieć, że brak odwagi czynnikiem zatwierdzającym?

— Tak. Chcę jeszcze dodać, że od powiedzialność tych czynników jest ukryta za parawanem kolejałości, a więc bardzo rozmaza.

Dokończenie na str. 2

# Trzy razy Alex

Co robi turysta przyjechawszy do obcego miasta? Porządek jest zawsze ten sam: zakwaterować się, nieco ogarnąć, a potem iść na pierwszy spacer. Trafia zwykle do śródmieścia. W Pradze będzie to plac Wacława, w Moskwie — ulica Gorkiego i plac Czerwony, w Budapeszcie — Vaci-utca. Kto przybędzie do Berlina dotrze niechybnie na Alexanderplatz, popularnie zwany tu Alex.

Moje pierwsze wozowanie do tego miasta było zupełnie odmienne i choć nie miało wspólnego z turystyką wiodło również przez Alex. Pora podróży była także nie najlepsza: maj 1945 roku, usprawiedliwiał ją jedynie mój mundur żołnierza WP.

Berlin leżał powalony, martwy, tu i ówdzie jeszcze kopaczki zgłiszczami. Ledwie umilkły strzały, a my wychyściliśmy sumiennie buty — w ekskursję na miasto. Ktoś rzucił, że najważniejszy jest Alexanderplatz. Do dziś nie wiem po cośmy tam poszli — grzyby przecież są wszędzie takie same.

Po drodze z Friedrichstrasse pusto było dostrzeżenie, przechodniów naliczyliśmy nie więcej niż tuzin: sami starcy i kobiety. Mineliśmy zamek Wilhelma (rozebrany po wojnie, stał na obecnym placu Marksa i Engelsa), czerwony Ratusz, a potem wzniesienie S-Bahnu. Tu w ciemnym dworcu, szczątków Berolinahaus i szkieletu domu towarowego kotłowni się gęsto tłum.

Tu koncentrowało się ówczesne życie wschodniej części Berlina, a jak się później okazało — całe życie „gospodarcze”. Alex, obok placu za Bramą Brandenburską był aktualnie takim sobie CDT-em. Obowiązywał o czywiście clearing: za papierosy, czekoladę, słoninę i chleb — aparaty fotograficzne, obrączki, ciuchy itp.

Jednym słowem — kontynuacja handlowych tradycji placu które licza co najmniej trzysta lat, poczynając od czasów handlu wełną i bydłem w XVII w. Z racji pełnionej funkcji nazywano go dawniej Ochsenplatz. Miano niezbyt eleganckie, co stało się przedmiotem troski burmistrzów, gdy Berlin został stolicą państwa. Sytuację uratował car rosyjski, Aleksander II. przybywając do Berlina. Oto dla upamiętnienia owego faktu — imię cara zastąpiło starą nazwę tego ruchliwego miejsca w mieście. Cara usatysfakcjonowano, nie przecezuując jednak, że nieraz będzie to brzmiało jak drwina.

W roku Wiosny Ludów (1848) plac cara Wszechrosji jest miejscem barykad i bitwy rewolucjonistów z królewskimi grenadierami, w latach 1918/19 — świadkiem burzliwych wydarzeń rewolucyjnych. W sąsiadującej z placem dzielnicy robotniczej mieściła się (1920) siedziba KC Komunistycznej Partii Niemiec.

W piętnaście lat później (1933) Alex jest widowiskiem aktów terroru faszystowskiego przeciw działaczom komunistycznym i Żydom.

Z tamtych czasów pozostał tylko dawny charakter placu: ważne skrzyżowanie komunikacyjne (S-Bahn, tramwaje i autobusy) i centrum handlowe. (Nic dziwnego, że obok niemieckiego najczęściej słyszy się tu język polski, czeski i węgierski). Co nie odbudowano, wschodnią część zamknął gmach domu nauczyciela i sala kongresowa, reszta pozostała nietknięta. Jakby nie starczyło koncepcji, czy też zgodności poglądów: czym ma być nowoczesny Alex?

Może i tak było, czemu z uwagi na złożoną sytuację polityczną trudno byłoby się dziwić. Obecnie, od paru lat, realizuje się tu kompleksowy plan rekonstrukcji i przebudowy centrum, którego najbardziej charakterystycznym elementem będzie 360-metrowa wieża telewizyjna, zlokalizowana naprzeciw berlińskiego ratusza (między Liebknecht i Rathaus Strasse oraz Spandauer Strasse).

Jak wynika z zapowiedzi, planów i makiet oraz rozpoczętych już robót, plac Alexandra zmieni się nieco od strony architektonicznej. A więc znika stąd obecne jezdnie arterii drogowych. Cały ruch przejmą nowe, szerokie aleje, jak gdyby poza placem. Komunikacja piesza p.ry przejdzie

ścieżkach jezdni i kolei jezdnie do 2 tuneli, po 400 m długości każdy. Swoje funkcje urbanistyczne Alex zachowa bez zmian. Wskazuje na to projekt budowy szeregu gmachów. Powstanie więc tu ogromny hotel na 2000 łóżek (126 m. wysokości) z restauracją na 39 piętrze. Dołem, do trzeciego piętra, hotel wieńczyć będzie ogromny pawilon handlowo-restauracyjny.

Największą osobliwością stanie się nowy dom towarowy, na 10 pięter wysoki, zupełnie pozbawiony okien. Architekci twierdzą, że obniży to znacznie koszty eksploatacji budynku, a co najważniejsze pozwoli na ogromne oszczędności miejsca i ułatwi rozplanowanie stoisk sprzedaży.

Nie wymieniam szeregu innych wielkich gmachów które staną przy Alexanderplatz, bowiem będą to biurowce. Razem stworzy to interesujący nowoczesny kompleks miejski, częściowo gotowy na XX-lecie NRD, w 1969 r.

Jak widać, trzecie wcielenie placu Alexandra nie pozbawi nas okazji do turystycznych wypadów. Bo chociaż nie mamy zbyt bogatych tradycji handlowych, kupowanie za granicą interesuje naszych rodaków żywo. I chyba nam to hobby nie przedko przeminie, a nowy Alex ułatwi je uprawiać.

## Odwaga i pasja architekta

Dokończenie ze str. 1

— Jeżeli tak jest, to chyba przede wszystkim sami architekci powinni przekonać te czynniki i nakłonić do zmiany zdania.

— Niestety. My możemy tylko wysuwać argumenty. Decyzję podejmuje kto inny. Na przykład, czy jest do pomyślenia, by takie przedsięwzięcie jak centrum Poznania było zatwierdzone bez zasięgnięcia opinii miejscowego środowiska architektów? Zarządy SARP-u i Towarzystwa Urbanistów Polskich zwróciły się do Głównego Architekta Poznania o zorganizowanie dyskusji (nietety, już po zatwierdzeniu planu) nad centrum. Na razie nie mamy odpowiedzi. I prawdę mówiąc, SARP jest tutaj bezradny.

— Czy to jest jedyny kłopot SARP-u?

— Skądże! Przykładowo wymienię niepokojące zjawisko starzenia się poznańskiego środowiska. Istnieje absurdalny wymóg, że młody architekt po ukończeniu studiów musi pracować 3 lata na budowach, żeby zacząć pracę projektową.

— Dlaczego absurdalny, przecież na budowach też się wielu rzeczy nauczy?

— Na dobrze zorganizowanej budowie. Ile takich jest? Poza tym na ogół wysyła się takiego absolwenta na kierownika budowy obórki lub czegoś podobnego w Kaczkowie Dolnym. Czego on się tam nauczy? W Zielonej Górze na przykład ten przepis nie tylko się obchodzi, ale prócz stypendiów, funduje się studentom książeczki mieszkaniowe PKO i zaraz po studiach przyjmuje do biur projektowych. Tam mają młode kadry. Od nas one odpływają nawet za granicę, byle tylko uniknąć 3-letniego okresu pracy na budowie.

— Słyszałem, że z ramienia „Inwestprojektu” jest Pan głównym projektantem nowego centrum w Zielonej Górze?

— Tak. To ogromne przedsięwzięcie, podjęte z rozmachem, rozsądkiem i... odwagą. Odpowiedzialne władze wojewódzkie potrafiły zebrać środki 36 inwestorów do jednego worka i skoordynować ich potrzeby z kompleksowym planem centrum. Pierwsze stadium kosztować będzie około 140 milionów złotych.

— Mówił Pan o odwadze potrzebnej projektującemu i zatwierdzającym. Czy obowiązujące normy nie wpływają tu ograniczająco?

— Normy stają się często pretekstem do asekurancja. Nie ma takiego projektu — od najbardziej szalonego do najbardziej genialnego — którego bym się nie podjął utracić na podstawie norm, normatywów, nakazów, zakazów i wszystkich po dziurki w nosie przepisów. Mimo to coś się w architekturze i urbanistyce dzieje, choć mogłoby się zdawać daleko więcej. Podstawą w robocie architekta są bowiem nie zakazy i nakazy lecz pasja, ta przysłowiowa szewska pasja. Marzę o tym, by doczekać chwili, kiedy architekt zaczął sobie o sprawy tworzyć skośkać do oczu.

— Oby te marzenia się jak najwcześniej spełniły.

Rozmawiał:

MARIAN FLEJSIEROWICZ

## Sześć różnokolorowych rakiet

Dokończenie ze str. 1

wstrzelanych w przedpole kaemów — dociera do dowódcy tej kompanii Azerbejdżanina Abbasowa Islama Ali-Uglu. Przekonuje się z desperacją, że ten nie przesadzał: przygotowywano ogień artylerii, jakoś na tym właśnie odcinku nie naruszył gestych zasieków. Z żołnierzy, którzy dorwawszy się już do nich próbować je przeciąć, ani jeden nie dał znaku życia. Mimo że wciąż niewidoczne stanowiska nieprzyjacielskie ostrzeliwuje od dłuższego czasu kompania moździerzy (wezwanie w takich warunkach atmosferycznych pomocy artylerii jest zbyt ryzykowne). Niemcy, najwidoczniej tkwiąc w głębokich schronach, wciąż jeszcze systematycznie zwierają w rejonie zasieków krzyżowy ogień kilku ka-



rys. Ewa Pruska

emów. Tak często, iż nawet najbardziej sprawnie pracujący nożycami, nie zdoła ich rozciąć w krótkiej przerwie pomiędzy jedną a drugą serią. Zaś puszczenie ku tej przeszkodzie dział samobieżnych, wykorzystanie ich czołgowych podwozi jako taranu, równa się ich zmarnowaniu. Jeśli nawet szczęśliwym trafem nie nadziejemy się na którąś z min, z całą pewnością gęsto utkanym pod zwojami drutu — same jeszcze ślepe, niezdolne do wypatrzenia poza zasłoną mgły przyczajonego wroga, zarysują się mu już ogromem własnych celów. Staną się pastwą odpalonego na pewniaka pancerniaka.

Trudności jakże łatwe do przełamania w przypadku lepszej widoczności — pozwalającej na wezwanie pomocy artylerii, broni pancernej lub lotnictwa — w tych warunkach młotają się w węzeł gordyjski.

Lecz właśnie wówczas, daje o sobie znać to, co zwykło się określać imponderabiliami żołnierza.

Nagle bowiem podrywa się z ziemi sekretarz kompanijnej organizacji partyjnej Palczik. Wyprostowany się, pospiesznie zdzierając z siebie szynel, krzyczy w patetycznym uniesieniu: „Komuniści i komsomolcy — za mną!”. Kilkomna susami dopadłszy grodującej linii zasieków

ciska na nie włochatą tkaninę. Skacze na jej wąty — zdolny tylko na mgnienie oka utrzymać ciężar ciała — pomost. Zaraz też odbiwszy się od niego, zda się dotykać już stopami ziemi, kiedy raptownie, staje się tylko bezwładnie padającym ciałem.

Na wciąż jeszcze żywych, poderwanych już i tak okrzykiem partorga, ten jego upadek, jednoznaczny dla znających widoki żołnierskiej śmierci, działa jak wystrzał czerwonej racy. Krzycząc z zajądłą rozpaczą (kronikarz batalionowy zapisze „Za Palczika! Za partorga!”), starając się, nie zważając już na nic, sforsować kolczastą przeszkodę. Niektórzy korzystają z tego samego, ostatecznego się na drutach płaszcza. Inni moszczą swe własne. Część z nich zastęga przy tym wysiłku na zawiesz. Ale wielu udaje się. I ci — choć wciąż jeszcze są dziesiątkowani — prą natychmiast skokami przeciwko krytemu mgłą źródłu śmierci.

Bielajew biegnący wśród pierwszych, wykrywa wreszcie po ognistym żądle zamaskowany schron, wbudowany w urwisko. Chcąc przynajmniej zagłuszyć załogę, rzuca wiązkę granatów. Niewiele to pomaga. Na szczęście któryś z żołnierzy pociąga natychmiast za sobą pod samo urwisko w martwe pole owego kaemu kilku innych, żywieliwo podporządkowujących się jego inicjatywie gwardzistów. Podstawiony przez nich, wsuwa ostrożnie w szczyt linie niemieckiego stanowiska ogniowego natychmiast wybuchający ładunek. Ostatecznie przesadza walkę 7 kompanii o drugą transeję...

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

## PLASTYKA

### Akwarele i rysunki Jadwigi Eichlerowej

Na jubileusz 35-lecia pracy artystycznej plastyczki poznańskiej Jadwigi Eichlerowej otwarta została w Arsenale wystawa prac malarki. Nazwisko autorki wystawy bardziej może znane jest z działalności upowszechnieniowej i społecznej niż z sal wystawowych. Niemniej dość często pojawiają się jej prace: akwarele i rysunki na wystawach okręgowych i kolejnych pokazach poplenerowych. Eichlerowa, jak podaje to katalog wystawy, określa się sama mianem malarza wczasowo-plenerowego. Większość jej prac powstaje rzeczywiście na plenerach WKZZ i ZPAP i w ogóle w bezpośrednim obcowaniu z naturą. Widąc w nich stąd pewien pospiech malowania, surowość rysunku, niekiedy wręcz trudność w odnajdywaniu tej najwłaściwszej plamy czy kreski.

Prace jej utrzymane są w tradycyjnej konwencji, nawet z pewną skłonnością do malowniczości ujęcia, rozkolorowania, co oświadczenie piszącemu te słowa nie bardzo odpowiada. Na dobro artystki trzeba jednak bezspornie zapisać konsekwentną, autentyczną postawę twórczą i łatwość z jaką jej prace nawiązują kontakt z szerokim odbiorcą. Nie do koneserów sztuki nowoczesnej, lecz właśnie do szerokiego kręgu potencjalnych miłośników sztuki zaadresowana jest też ta wystawa. I temu gronu odbiorców ją też polecamy.

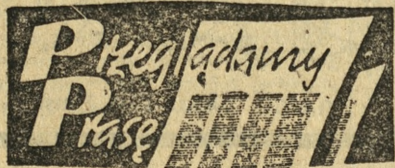
O. B.

### Polska prapremiera opery „Szerzeń”

W Operze Wrocławskiej odbyła się polska prapremiera opery „Szerzeń” Antonio Spadawekii, kompozytora radzieckiego pochodzenia wiońskiego. Libretto wg głosnej powieści Ethel L. Voynich opracował J. Keller. Wersja operowa powstała w 1958 roku a w następnym roku odbyła się w Moskwie jej światowa prapremiera.

Polski przekład libretta przygotował znany poeta wrocławski Kazimierz Koszutski, reżyserował Stanisław Brejdygant, a scenografię opracowała Zofia Wierchowicz, układ choreograficzny Mikołaja Kopieńskiego. (PAP)

LEKTOR



Nawiązując do kontynuowanej przez naszą redakcję dyskusji pod hasłem: „Młodzi — Nowocześni”, pragnę w dzisiejszym przeglądzie zwrócić uwagę na publikację, poświęconą bezpośrednio lub pośrednio młodzieży. „Polityka” publikuje rozmowę z Andrzejem Żabińskim, przewodniczącym Zarządu Głównego ZMS zatytułowaną: „Bez stref milczenia”. A. Żabiński mówi:

„Zaczęło od uwagi krytycznej pod adresem prasy. Wiele publikacji o młodzieży jest sztywnych, statycznych, wypranych z patosu — mam na myśli patos zdrowy, uzasadniony. W tym, co pisze się o działaczach i organizacjach młodzieżowych, brak jest życia, sylwetki człowieka. Same tylko metry bieżące rowów melioracyjnych. Podawane w prasie, nie tworzą dobrej atmosfery wokół związków młodzieży. Człowiek pojawia się dopiero w publikacjach o negatywnych ekscesach złotej młodzieży, o marginesie społecznym. Nie ma to nic wspólnego z życiem całego pokolenia. Dyskusja przed Zjazdem ZMS przełamała ten tradycyjny sposób pisanie o młodzieży. Szczególnie prasa wojewódzka uczyniła wiele, aby pokazać prawdziwe życie ludzi młodych. Ten sposób pisanie trzeba utrzymać po Zjeździe”.

O losach młodych ludzi w fabryce A. Żabiński mówi:

„Staramy się wyrażać o młodzieży te cechy, o które najtrudniej w młodym

wieku: systematyczność i dokładność... Potem trzeba stworzyć program dla młodzieży ambitnej, zafascynowanej techniką, która chciałaby w życiu coś zmienić. Tacy młodzi robotnicy, technicy i inżynierowie wtracają się zwykle do techniki, którą usiłują udoskonalić, zracjonalizować”.

O młodzieży studenckiej:

„Młodzieży ze środowisk robotniczo-chłopskich, czy oddalonej od dobrych wielkomiejskich szkół, trzeba sprzyjać w wyrównaniu jej poziomu do poziomu młodzieży inteligentnej z dużych miast... Nie może być kompromisu dla mniej zdolnych, ale chodzi o stworzenie systemu równego startu, przy którym każdy mógłby swoje zdolności wykazać”.

O roli ZMS w szkole średniej:

„Nie zależy nam na statystycznych sukcesach. Zwłaszcza w szkole, gdzie wszyscy uczniowie mają jednakowe zadania, organizacja powinna grupować tylko najlepszych. Wtedy ZMS stanie się partnerem dla kierownictwa szkoły. Nie powinniśmy oczywiście wtracać się do spraw dydaktycznych, ale cała rozległa sfera działalności samorządowej, bytowej, stypendialnej, sportowej — to właśnie pole do popisu dla nas”.

O innych sprawach:

„Nie powinniśmy dawać się zaskakiwać modzie importowanej. Sami powinniśmy urabiać styl ubioru. Nawyki, kształtować smak młodzieży, tworzyć dla niej muzykę, a zwłaszcza dobrą piosenkę... Kiedy zbierze się grona młodzieży, natrafia wspólnie zaspiewać tylko „Sztą dziewczeczka do łasieczka”.

MŁODY BOHATER

Drukowany w „Kulturze” reportaż Janusza Krasińskiego pt. „Żywił dotąd nieznany” o głośnej katastrofie pod Bolesławcem adzie błoto z Zakładów Górniczych „Konrad” rozsądziło tamte i w ciągu pół godziny gęsta maź zalała 4 wsie — zawiera także op.ś bohatera

go wyczynu młodego człowieka. Jest nim Ryszard Płaskowski, kierownik Gminnej Spółdzielni w Okmianach, który rok temu odbył służbę wojskową i zamieszkał w jednej z dotkniętych katastrofą wsi.

„Płaskowski jest niezłym pływakim. To jednak nie była woda — nieokreślona, bezimienna maź. Napili się jej raz i drugi. Zbierało go na wymioty — gips. Kiedy wydało mu się że traci grunt, chciał zawrócić. Ale trzęsąc się na białce gipsowa figurka była dla niego zbyt przejmującym widokiem. Jeszcze z tyłu ten potworny krzyk matki: „Wiesiu, mój najmilszy Wiesiu!” doznał. Wziął figurkę w ramiona, a ona wpłynęła mu się palcami w szyję aż do krwi. Kiedy wrócił na zosę, nogi uginały się pod nim z wycieńczenia. Oddał chłopca zanoszącej się placem matce i poprowadził oboje do samochodu. Okrył wszystkich kocami i podjechał do najbliższego gospodarstwa. Nabrawszy wody do chłodnicy — nagi i oblepony błotem — powoził całą gromadę do szpitala w Bolesławcu”.

Ryszard Płaskowski, człowiek właściwy obcy w Tomaszowie, uratował życie 5 osobom. Wykazał najwyższą gotowość do poświęceń i nie ulkł się nikomu dotąd nieznanego żywiołu.

HISTORIA — MISTRZYNIĄ ŻYCIA

W tym samym numerze „Kultury” znajduje się rozmowa z prof. dr. Tadeuszem Manteufflem, dyrektorem Instytutu Historii PAN („Magistra vitae”). Temat rozmowy nie jest co prawda bezpośrednio związany z młodzieżą, ale w pewnym sensie dotyczy jej, jako że historia jest przedmiotem nauczania zarówno w szkole podstawowej jak i w szkołach średnich wszelkiego typu. Na pytanie dotyczące społecznej funkcji historii, zwanej kiedyś „mistrznią życia”, Profesor odpowiada: